

Siedzieliśmy wszyscy w tym pociągu jak kolacyjne sardynki Notoriousa.

Ja z dziewczynami, Hol gdzieś w innym przedziale.

Zresztą, wtedy bliżej było mi do rachitycznego kolegi, u którego w domu wisiały reprodukcje impresjonistów, choć On się na tym nie znał.

Nic a nic.

Na półeczce pod oknem stał kaseciak.

Osiemnastolatki z mojego rocznika – bo klas tam już nie mieliśmy – marzyły o pierwszym razie z Ronanem Keatingiem i katowały mnie tymi balladami, a ja myślałam, że rzeczywiście lepiej byłoby, gdyby chłopak już zamilkł: *You say it best, when you say nothing at all.*

Próbując utrzymać nerwy na wodzy karmiłam się wspomnieniami i rzodkiewkami, których resztki wyrzuciłam przez okno pędzącego składu. Dopiero mijaliśmy Bonn, gdzie tu Florencja???

W takiej katowni...

Wyjęłam swoją tajną broń w postaci najnowszego albumu Maxwella.

Wiele tygodni później Homegirl opowiedziała mi, że One mają mnie za wariatkę, bo słucham takiej dziwnej muzyki.

Tak.

Nie pozostawiałam im dłużna.

Beznadziejne głąby – myślałam.

Najbardziej stylowa arogantka roku – na to One w naszej książce maturalnej.

Aha.

Nie jestem z tego dumna, ale pogardę to ja miałam w małym paluszku, moi mili.

Zupełnie jak Kafkę.

Dopiero kilka dni po swoim rzymskim weselu z romską kapelą dowiedziałam się, że pogarda – niczym najnowszy album Maxwella – jest tajną bronią tych najbardziej skrzywdzonych.

Ale to już zupełnie inna historia.

A zaczęła się od *Zniewolonego dzieciństwa* autorstwa Alice Miller.

O wszystkich nas myślę dziś z sympatią i rozczeniem.
No bo niby skąd była ich pogarda do mnie?
Lustra. Wszędzie lustra.